

Bóg znad Przemszy

"Bóg" w reż. Grzegorza Kempinsky'ego w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu. Pisze Krzysztof Karwat w Śląsku.



«Zapewne szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że premiera "Boga" niemal dokładnie zbiegła się z wejściem do polskich kin nowego filmu Woody Allena, zatytułowanego "Scoop - Gorący temat". Ale dodatkowego marketingowego wparcia ten spektakl chyba nie będzie wymagał. Dlaczego? Bo jest dobry, choć od sosnowieckich aktorów można było oczekiwać nieco więcej, tym bardziej że poła konwencji, po których mają się poruszać, zostały precyzyjnie przez reżysera zakreślone.

Reżyserska robota skrzy się udanymi pomysłami. Dowodzi nie tylko poczucia humoru Grzegorza Kempinsky'ego, ale i jego zrozumienia dla tego szczególnego rodzaju komizmu, który odróżnia Allena od innych współczesnych artystów kina i teatru. To zrozumienie - wbrew pozorom - nie jest udziałem wszystkich, którzy sięgają po teksty genialnego nowojorczyka, tak jak jego filmy i utwory literackie bynajmniej nie są adresowane do "szerokiej publiczności". Mimo że są komediami, ale przecież coś istotnego dzieli sztukę Woody Allena od - powiedzmy - Benny Hilla. To nie jest tylko kwestia tego, co powszechnie nazywamy subtelnością dowcipu czy gagu. Chodzi raczej o to, że Allen porusza się po szerokich obszarach współczesnej kultury i obyczajowości. Kpi z nas, inteligentów, wszelkiej maści wykształciuchów, gotowych leczyć rany duszy w gabinetach szarlatanów od "psychiatro-terapii", od bycia "nowoczesnym", na "topie", "trendy". I niemiłosiernie krytykuje, a jest wiarygodny, bo to siebie - uosabiającego nas wszystkich - uznał za przedmiot kpin najokrutniejszych. A jest Allen w tej krytyce finezyjny i przebiegły.

Sosnowiecki Bóg też zachowuje wiele znaczeń, które - podejrzewam - nie każdy zdoła odczytać. Jest wielopiętrowy poprzez gęstą sieć aluzji do rozmaitych tradycji kulturowych - nade wszystko antyku - ale i do inteligentckiego etosu, który osobiwie w tym spektaklu ma wymiar bardziej polski niż amerykański. Ba, bardziej sosnowiecki niż nowojorski. Bo też Kempinsky podpisywał nie tylko kawałeczki "sosnowiecko-zagłębiowskich" dialogów, ale i narzucił prostymi środkami myśl, że oto naprawdę jesteśmy przy ulicy Teatralnej w Sosnowcu, gdzie od z górą stu lat stoi zacny, choć jakże mizerny budynek służący "do grania", zaś nieopodal, od bodaj dwóch, buduje się i już funkcjonuje "nowojorski" w rozmachu hipermarket. No i że to właśnie zbliżowani aktorzy sosnowieccy, którzy mają swe

imiona i nazwiska, teraz na chwilę zatarte z powodu "ról", które mają odegrać, muszą wystawić sztukę, jakoś -z trudem, bo z trudem - konkurującą z owym codziennym spektaklem żarłoczności i niepohamowanej konsumpcji, jaki odbywa się po sąsiedzku. Tam obywa się bez oklasków, ale za to z gwarantowanym sukcesem. A tutaj? Kto tym biedakom szamocącym się w znoju roboty teatralnej, zapewni zwycięstwo? I jakie to będzie zwycięstwo? Marne - nie ma co kryć, nawet jeśli się Złotą Maskę dostanie (Andrzej Śleziak grający najważniejszą w tej sztuce postać Pisarza, alter ego Allena, co rusz "zrywa przedstawienie" i z proscenium dziękuje komisji konkursowej właśnie za tę nagrodę). Tak, ci aktorzy mają własne twarze, prowincjonalne marzenia i wstydlive kompleksy, choć dzięki - nomen omen - Bogu, jeśli zajdzie na scenie potrzeba, swe twarze (i siebie, ze swymi tajemnicami i potrzebami) zakryją, jak w starożytnej Grecji, maskami.

O dziwo, nie ma w tych reżyserskich aluzjach i dogaduszkach ani odrobiny nadużycia wobec Allena. Ba, one ożywczo wpisują się w tę jednoaktówkę. Kiedy z widowni wyskakuje Doris Levine, by włączyć się w "akcję" i też zagrać w przygotowywanej na naszych oczach sztuce, to bez problemu uwierzmy, że ta piękna, lecz głupiotka dziewczyna, kochająca seks - zacytujmy klasyka - niczym koń owies, naprawdę nazywa się Dorota Lewińska, jest po katowickim AWF-ie, no i pochodzi z "Będzina". Ewa Kopczyńska zrozumiała intencje reżyserskie i zrobiła wszystko, by nie było wątpliwości, gdzie jesteśmy. Niebawem pojawi się... Chochół (Grzegorz Kwas), tak, ten z "Wesela", i już wiemy, że nic nie wiemy - że nie wiemy, kto - tak jak chciał Allen! - tę sztukę napisał. Sceniczny Pisarz, a może Lorenzo Miller, który wszystkich ustawił po kątach i zgłosił swe słuszne prawa do autorstwa? Ale Miller jest karykaturą samego siebie, jest jak oszalały marketingowiec, który wyrwał się z jakieś telewizyjnej reklamy albo kryptoreklamowego "show". Ileż zjadliwości i gorzkiej prawdy o nas, "konsumentach kultury", w tej znakomitej roli Zbigniewa Leraczyka.

I tak toczy się ten "teatr w teatrze", a w tym teatrze jeszcze jeden teatr. I jeszcze jeden... I jeszcze jeden... Rozkładamy w wyobraźni kolejne puzzle albo raczej sceniczne "urządzenia"

przypominające rosyjską matroszkę - tych "bab w babie" jest tyle ile sobie - drogi widzu - wymyślisz. I w zawrotnym tempie musisz je "rozbierać", a i tak możesz się pogubić. Bo nigdy nie wiadomo, co jest teatrem, a co życiem. Co życiem, a co jego udawaniem. O koda, że przez wiele początkowych scen ten rodzaj intelektualnej zabawy w teatr (i w życie) toczy się dość opornie, choć ratuje sytuację bardzo dobra scenografia (za plecami aktorów też jest publiczność, a wśród niej kilku "żywych" widzów, "żywa" inspicjentka i "martwe" makiety postaci - maski postaci?; takie maski, jakimi i my jesteśmy, bo przecież nie tylko aktorzy sosnowieccy). Andrzej Śleziak mimo wszystko zbyt mało autoironii włożył w rolę Pisarza (i Schizokratesa) i nie obdarzył tej postaci Allenowskim dystansem, zaś partnerujący mu Andrzej Rozmus (Aktor. Kretynik) z kolei za bardzo uwierzył w to, że ten spektakl ma być tylko bezpretensjonalną zabawą, więc niekiedy wpada w manierę charakterystyczną dla aktorów, którzy zbyt często grają w bajeczkach dla dzieci. Wiem, to są role trudne, niemniej powinny być wiodące, a niestety nie są.

Słyszałem, że Allen-producent ma ekstrawagancki zwyczaj traktowania swoich aktorów "po równo". Obojętnie jak się nazywasz, i jaką rolę grasz, dostajesz, to samo honorarium, co największa gwiazda. Adam Kopciuszewski, dyrektor Teatru Zagłębia, zapewne na ten rodzaj dobroduszości pozwolić sobie nie może. Niechby więc przy kasie nie zapomniał o Leraczyku i Kopczyńskiej. Ale niechby jednocześnie - broń Boże znad Przemszy - nikogo nie pominął!»

"Bóg znad Przemszy"
Krzysztof Karwat
Śląsk nr 6
19-06-2007

e-teatr.pl - wortal teatru polskiego © Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego